

ELŻBIETA DĄBROWICZ

Listy-lustra (Pomiędzy Juliuszem Słowackim a Salomeą Bécu)

Mojemu Bratu

Tytułowa formuła nie wyszła spod pióra Słowackiego, ale dochowuje wierności jego listom, zwłaszcza listom genewskim do matki. Pochodzi wprost od luster, które tam co krok każą w siebie i na siebie spoglądać. Kieruje uwagę na to, co się zobaczyło. Czyni zagadnieniem samo patrzenie¹.

Z pomocą listów adresatka miała zobaczyć to, na co patrzył ich autor, co brał oczami na własność. Intensywność jego spojrzenia brała się stąd między innymi, że patrzył dla niej, z myślą o rychłym do niej pisaniu. Patrzył słowami.

Słowacki ruszał do Genewy z kilku powodów: „A potem, będąc w Genewie, między Paryżem a Florencją, któż do Paryża wracał? Pisałem już, że interes zmusza mnie do wyjazdu – ale zapewne z własnej woli w Genewie zostanę na mieszkanie – i wiele sobie obiecuję przyjemności – i listy moje może ciekawsze będą, jak Wam doniosę o mieszkaniu Russa, Voltaira – a nade wszystko jak pielgrzymką na Mamy intencję zwiedzę Coppet, gdzie pani Stäel mieszkała. Może na wiosnę znajdę sobie gdzie mieszkanie nad Jeziorem Genewskim, w jakim wiejskim domku – i tam oddam się rozmyślaniom nad marnościami światowymi – bo ja stworzony jestem do życia mnisiego – spokojnego – i w najnudniejszych miastach tworzę sobie samotność – ale nudną – przerywaną hukami powozów, rozmową nudnych znajomych – więc nie obwiniaj mnie, Matko, że cichszej samotności szukać będę. Jak mnie jaka gosposia zacznie karmić nabiałem, to ma-

¹ G. Haroche-Bouzinac, *Quelques metaphores de la lettre dans la theorie epistolaire au XVIIe siècle. Flèche, miroir, conversation*, „*Revue XVIIe siecle*”, No 172, juillet-septembre 1991.

tuzaleмовych lat dożyję – tu zaś zatrważa mnie widok mojego przyjaciela [...]. Suchoty, od których się na czas pobytom w Wersalu uwolnił, wróciły z okropną mocą, skoro znów w paryskich zamknął się murach”².

Wśród motywów decyzji o wyjeździe z Paryża zabrakło wskazania na publikację III części *Dziadów*³. Z przyczyn bolesnych Słowacki wymienił jedną: stan zdrowia przyjaciela. Wyjeżdżał do Genewy, żeby nie patrzeć na jego agonię. Po Szwajcarii wiele sobie obiecywał. Więcej obiecywał adresatce. Dla siebie chciał tylko ciszy „w jakim wiejskim domku”. Dla niej miał oglądać siedziby Rousseau, Voltaire’a, pani de Stäel. Wybierał Szwajcarię, bo już rozpoznał swoją stworzoną do samotności i samotność tworzącą naturę.

Z przytoczonego fragmentu wynika, że Salomea, matka poety, nie pochwałała tego wyjazdu albo że syn takiej reakcji się po niej spodziewał. Chcąc odeprzeć rzeczywistość czy też jedynie zakładaną dezaprobatę, użył sformułowania: „nie obwiniaj mnie, Matko”. Czy Salomea miała mu za złe opuszczenie Paryża, sprawdzić nie sposób. Jej listy wszak, z drobnym wyjątkiem, przepadły. Można jednak domniemywać, że nie mówiłaby o winie. Nienaturalnie podniesiony ton prośby skrywał raczej poczucie winy piszącego, wyrzuty sumienia w związku ze sprawą ponownie rażonego piorunem – tym razem przez Mickiewicza – małżonka Salomei Bécu. Słowacki usłyszał w *Dziadach* (scena VIII: *Pan Senator*) krzyk swojej matki: „Słyszysz w domu krzyk kobiety?” i spontaniczną reakcję ulicy na jego domowe nieszczęście: „Cha – cha – cha – diabli wzięli”. „Krzyk kobiety” zabrzmiał Słowackiemu w uszach stokroć silniej niż krzyk Matki Polki, Pani Rollison. Czytając *Dziady* bardziej się czuł synem Salomei niż synem ojczyzny. Jako syn Salomei powinien był wyzwalać Mickiewicza na pojedynek. Jako Polak – musiał osobistej zemsty zaniechać. Słowacki czytał *Dziady* inaczej niż patriotyczna publiczność. Ta sama publiczność, którą jako poeta chciał zawładnąć czy choćby poruszyć.

W listach do Krzemieńca nie można było pisać o wszystkim. Sprawy polskie wymagały ostrożności, aluzji, szyfrów. Nie o wszystkim Słowacki chciał matkę informować. O tym, co dla niego najważniejsze, mówił pośrednio i może nie całkiem świadomie. Na pytanie, po co jechał do Genewy, odpowiadał obszernie i – zdałoby się – wyczerpująco: dla przyjemności, dla wanitatywnych dumań, dla ciekawszych listów, dla zdrowia. Lecz motywacji głębokiej genewskiego projektu sięgało jedynie słowo *między*, w zdaniu o geograficznej atrakcyjności miasta, położonego między Paryżem a Florencją. Po nieudanej próbie zaistnienia wśród ludzi, Słowackiemu trzeba było jakiegoś samotnego, wykreowanego „między”

² J. Słowacki, *Dzieła*, red. J. Krzyżanowski, wyd. 3, Wrocław 1959, t. 13: *Listy do matki*, oprac. Z. Krzyżanowska, s. 107. Wszystkie cytowane fragmenty listów Słowackiego pochodzą z tego wydania.

³ O *Dziadach* napisał do matki dopiero w liście z 30 listopada 1833 roku.

czy pomiędzy, żeby przystanąć i na nowo siebie w świecie zobaczyć. Trzeba mu było samotności, żeby konflikt między synem, Polakiem i poetą przemienić w twórczy impuls.

Do Genewy zjechał Słowacki 30 grudnia 1832 roku. Genewskie „między”, jak się okazało, pochłonęło mu trzy lata. Datę przyjazdu odnotował w liście tegoż dnia pisany. Druga część relacji powstała dopiero 5 stycznia, w pensjonacie pani Pattey. Wynikało z niej, że marzenie o wiejskim domku zstąpiło na ziemię: „Mam pokoik bardzo ładny – zupełnie wiejski – z obiciem w kraty zielono-karmazynowe – biurko czeczotkowe – ogromny, ale ogromny fotel aksamitny, w którym jak siedę to mnie nie widać – i krzesła, i stolik, i piec okrągły – okna, jak zwyczajnie w Szwajcarii, z małymi szybami – a przed oknami dwa świerki – sosnę, dąb stary – wiele krzewów – murawę, teraz nawet zieloną i klomb z róż. Okna moje obrócone są na wschód, będę więc miał w lecie słońce – i w ładny poranek otworzę sobie okna i będę miał słońce – zapach róż – i zapach balsamiczny jodeł. Nie uwierzysz, Mamo, jak mnie te jodły cieszą – jak mi jest przyjemną ta wiejska cisza, która mię wkoło otacza” [s. 117–118]. Genewa hojnie obdarowała przybysza. Jego „mam” – terażniejsze i przyszłe – ledwie mogło pomieścić obfitość przedmiotów, roślin, zapachów. Lecz nie ludzi. Dla tych – dla ich obecności, ich działań – w wyliczeniach nie stało miejsca. Tym wyrazistsza za to stawała się obecność listowego TY; matki, która to czyta, przeczyta. Niemal czuje się, jak na czas paru zdań radość posiadania, posiadania tego wszystkiego, w całej obfitości, ogarnęła piszącego bez reszty. Póki tych parę zdań pełniło się, trwało i rozrastało do granic horyzontu, był na powrót czteroletnim chłopcem z najwcześniejszej pamięci, dzieckiem małym i malejącym, aż do zniknięcia w „aksamitnym fotelu”.

We fragmencie tym całe „ja” wychyla się ku rzeczom, ku naturze. Bez żalu zapada się w aksamit fotela. Na chwilę. Bo zaraz po przywołaniu matki, rzeczy tracą swoją materialność: „Zdaje mi się nieraz, że już osiadłem na wsi, aby odpocząć po trudach życia” [s. 118]. Słowacki w Genewie przecież wcale nie osiadł. Dom wiejski należy bardziej do świata idei niż do świata widzialnego. Dlatego choć w liście może być zarazem domem pierwszym i ostatnim, w świecie niepisany jest ani jednym, ani drugim.

Motyw domku wiejskiego – raczej *otium* niż pustelni⁴ – uporczywie wraca w listach Słowackiego z Genewy. Wraca pod rozmaitymi postaciami: jako dom Pani Pattey, wioska na Podolu, dom Teofilów, chata w górach, domek we Francji. Jak wynika z listów Salomei do Antoniego Edwarda Odyńca⁵, marzenie o wiejskiej samotni nawiedzało jej syna jeszcze w latach wileńskich. Wówczas zresztą

⁴ B. Otwinowska, *Humanistyczna koncepcja otium w Polsce na tle tradycji europejskiej*, [w:] *Studia porównawcze o literaturze staropolskiej*, red. T. Michałowska, J. Ślaski, Wrocław 1980; T. Komendant, *Domek i świat*, „Teksty” 1978, nr 2.

⁵ *Listy Salomei Słowackiej-Bécu do Antoniego Edwarda Odyńca, (1826–1829)*, „Przewodnik Naukowy i Literacki”, Lwów 1898.

miało uzasadnienie natury zgoła ekonomicznej. Salomea nie traktowała poważnie synowskiej tęsknoty do wiejskiego życia. Obawiała się, że samotnia przypadnie w udziale jej samej, kiedy syna znęci światowy gwar. Na własny rachunek natomiast myślała o domu wiejskim w chwilach zwątpienia co do przyszłej kariery Julka, z obawą, że sam wśród ludzi się nie odnajdzie.

Sceptycyzm matki odbija się i w lustrze listów Słowackiego. Lustrami bowiem są te listy również i w tym sensie: odbijają listy otrzymywane, listy przy tym wraz z aurą osoby piszącej. „Tobie się, Mamo kochana – pisał Słowacki – wszystkie takie projekta wydają się romansowe i niepodobne do skutecznienia – ale prawdziwie, że w tym wieku, gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnej w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień, jak dawniej ludzie szli do klasztorów” [s. 232]. Co matka uważała za synowską *idée fixe*, on sam przedstawiał jako tęsknotę zgoła powszechną.

W listowych nawrotach wiejskiego domu Salomea rozpoznawała dawnego Julka. Powracające od lat marzenie mówiło jej, że się nie zmienił. Ale ponieważ dawniej marzenie to ją niepokoiło, odnajdywany raz po raz w listach genewskich domek również teraz nie dawał myślom bezpiecznego schronienia.

Ambiwalencja tego rodzaju nie dotyczy jedynie motywu wiejskiego domku, lecz całej korespondencji między matką a synem. Piszą do siebie, żeby się nawzajem obdarzyć spokojem. Piszą – z niepokojem o siebie. Z każdym listem stają od nowa przed problemem, jak z własnego niepokojem uczynić dar spokoju dla drugiej osoby. Ze starania o spokój adresata płyną wzajemne oskarżenia o nieszczerłość, o serdeczną autocenzurę: „[...] Matko! Wyrzucasz mi nieszczerłość – kiedy ja nigdy tak daleko od niej nie byłem jak teraz. Wszystko, co tylko mogę, wyjawiam Ci, Mamo...” [s. 153]

Kiedy trudno o spokój wewnętrzny, trzeba go najpierw poszukać poza sobą. Trzeba – owym rozłamującym „trzeba” z *Godziny myśli* („Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie półowy”) – najpierw zobaczyć spokój miasta, jeziora. Trzeba swoje widzenie, widzenie zamierzone intencjonalnie, oddzielić od pełnego niepokojem serca. Trzeba się stać lustrem, które by z całą rzeczowością autentyku odbiło to, co tym sposobem widzi a n e. A nie po prostu – zobaczone.

W Genewie nietrudno było o lustrzane metafory. Miasto wszak przeglądało się w wodach jeziora. „Kilka dni temu o południu – notował Słowacki pierwszej tam jesieni – pływałem czółnem po jeziorze. Wystawcie sobie jezioro czyste i równe jak zwierciadło, tak równe, że kiedy po nim z daleka przepłynął parowy statek, w kwadrans potem widziałem zbliżający się fałd czarny rozbitej kołem parnego statku wody. Fałd ten posuwał się z wolna, wspaniale i czółnem moim lekko zakołysał – przeszedł – przepłynął dalej – a czółno znów stało nieruchome na zwierciadle wody” [s. 161]. Później Mickiewicz nad tym samym jeziorem, choć z przeciwległego brzegu, kończył po swojemu: „Mnie płynąć, płynąć i płynąć...” „Mnie płynąć”, a więc płynąć samemu, choć z wyższego musu, bo nie ma innej drogi.

Obraz czółna stojącego nieruchomo na zwierciadle wody pojawia się w listach tylko raz. Statystyka jednak nie ma tu nic istotnego do powiedzenia. Trudno się bowiem oprzeć wrażeniu, że poprzez cytowane zdania nastąpiła jedynie przejmująca wizualizacja czegoś, co było obecne we wcześniejszych przesyłkach z Genewy. Za sprawą czółna dał się zobaczyć ten rodzaj bierności, poddania się ruchowi, niestawiania mu oporu, niezatrzymywania go w sobie, bierności więc, która nie ma nic z rezygnacji, apatii czy acedii. Ta bierność jest samą ciszą, spokojem i wszech-zgodą; jednak wybraną i niełatwą. W przywołanym fragmencie ruch powodowany siłą mięśni – „pływałem czółnem” – ustępuje miejsca ruchowi z zewnątrz. Ruch wcielony w „czarną falę” widzi się, podziwia, czuje sobą. Zewnętrzny ruch zagarnia mnie i łódkę: „czółnem moim lekko zakołysał”. Kiedy mijają, w bezruchu pozostawia samo czółno: „czółno znów stało się nieruchome na zwierciadle wody”. „Ja” – z definicji osobne, różne od wszystkiego, co mną nie jest, rozpoznało siebie poza sobą, w przyjmowaniu i oddawaniu ruchu, co przychodzi, przechodzi, odszedł.

Ślad tego rodzaju doznania można też rozpoznać w skojarzeniu odnotowanym wcześniej, 23 sierpnia 1833 roku. List z dnia urodzin Słowacki pisał niemal natychmiast po przebudzeniu, żeby opowiedzieć, jak mu się dzień ów – bukietem kwiatów rzuconym na łóżko – rozpoczął: „Bukiet dany mi na wiązanie stoi przede mną. W głębi jednej róży śpi spokojnie zielony żuk – zdaje mi się, że on ma teraz los podobny do mnie, kiedy spoczywam cicho w głębi pięknego szwajcarskiego ogrodu...” [s. 147] Jak w poprzednio cytowanym, ale chronologicznie późniejszym fragmencie, daje znać o sobie triada: cisza – lecz nie martwy bezruch – spokój i piękno. Żuk uśpiony w róży nie budzi przykrego zaskoczenia. Gdyby był czarny jak fala na jeziorze, mógłby przypominać robaka, co „się lęgnie i w bujnym kwiecie”. Malczewski zresztą nieraz wówczas przychodził Słowackiemu na myśl. Lecz żuk w róży wabi oczy zielenią, zielenią, która wydaje się tu po prostu tożsama z sobą, która jest tu darem natury, a nie barwą symboliczną. Symboliczna zieleń autora *Księdza Marka* ma wiele wspólnego z symboliczną czernią: „Jedna, panie, Żydowica / Błada, z rozpuszczonym włosiem [...] / O polskim księdzu proroku / Krakąta jak kruk na dachu / A co przydawało strachu / U zabobonnych Moskali, / To jedno umierające / dziecko. – Jak w zamku Walhalli / U dziewic na piersiach mieszące – / Tak to dziecko zawieszzone / Na piersiach jej, już zielone, / Już nie dziecko u kobiety [...]”⁶

Swoją zielenią żuk widziany różni się od róży. Dlatego ta właśnie róża zwróciła uwagę patrzącego. Róża opisana w liście, aczkolwiek pozostaje przy barwie różanej, łączy się z żukiem poprzez podobieństwo zmysłowego brzmienia słów. Ledwie się jednak ową bliskość rozpozna, trzeba rozróżnić: bliskość nie ozna-

⁶ J. Słowacki, *Dzieła*, op. cit., t. 9, s. 102.

cza wcale tożsamości. Zbitka dźwięków -óž- w „róży” ma w słowie „żuk” postać inwersji żu-. Jedna z nich jest lustrzanym odbiciem drugiej.

Róża jako element porównania miała oznaczać Szwajcarię, żuk – autora listu. Prócz sensu wskazanego wprost, róża z uśpionym żukiem w liście do matki, wysłanym na okoliczność urodzin piszącego, zyskuje inną jeszcze wykładnię. Przywodzi na myśl matkę, jej łono i nie narodzone jeszcze dziecko. Tutaj podobieństwo między różą a żukiem nie jest dziełem przypadku ani dziełem sztuki słowa. Podobieństwo okazuje się najściślejszym pokrewieństwem. I tajemnicą zarazem. Nie sposób bowiem wyjaśnić, dlaczego z róży rodzi się żuk, po części z nią tożsamy, a na tyle, tyle sposobów inny, zielonoobcy⁷.

Trójznaczność róży (kwiat, szwajcarski eden, matka) dobywa na jaw głęboki sens lat genewskich Juliusza Słowackiego. W tej perspektywie Szwajcarii nie dzieli od matki wielomilionowa przestrzeń; poprzez „różę” patrząc, nie dzieli ich nic. Znika i róża. Szwajcaria jest niczym łono matki, otacza uśpionego ze wszech stron – do jeszcze nie nadeszłego, nie spełnionego, w ciszy zawieszonemu – czasu ponownych narodzin.

Cisza znamienita dla dwóch przywołanych obrazów: czółna stojącego na zwierciadle wody i uśpionego w róży żuka nie jest w listach Słowackiego stanem trwałym. Dominuje w nich inny rodzaj ciszy – ze smugą smutku: „Listy Wasze często odczytuję nad Genewskim Jeziorem, a po przeczytaniu myślę o Was patrząc na rozległe błękity fali. Nie uwierzycie, ile ten obraz ma smutku i myśli. Szum jeziora zaledwo słyszeć się daje – cicho – cicho i słyszałbym głos Wasz, gdybyście mnie wołali” [s. 129]. W tej ciszy wyraźnie słychać melancholijny głos Malczewskiego z *Marii* i Mickiewicza ze *Stepów akermanńskich*. Pierwsza cisza – przedślowna, pierwotna, towarzyszyła doznaniu pełni, druga – nieraz już przez poetów nazywana – wyrażała poczucie zerwania więzi, osamotnienia, depriacji. Warto jeszcze nadmienić, że Salomea Bécu ów Mickiewiczowski sonet szczególnie sobie upodobała. Swego czasu pisała do Odyńca o współbrzmieniu wiersza z jej wileńskimi nastrojami.

Pod datą 15 lipca 1833 roku wraca połączenie ciszy, spokoju i smutku w większym jeszcze niż wcześniej nasileniu: „Siedzę cicho i spokojnie nad brzegami jeziora – i myślę o Was. Czasem jestem tak odrętwiały, że potrzebowałbym, aby mnie pszczoły Twojej, Mamo, pasieki pokąsały. Smutno! Smutno!” [s. 114] W liście o rok późniejszym zamiast odrętwiałości pojawia się jednostajność: „Znów nowy miesiąc upłynął spokojnie – bez najmniejszych wydarzeń. Żyję jak kwiat na jednym miejscu – tą samą rosą i tym samym słońcem – dziś jak wczoraj – jutro jak dzisiaj. Jednostajność tę przerywa czasem smutna myśl o Tobie, Mamo moja, czasem gorące zachcenie obaczenia Ciebie – czasem mimowolne drżenie,

⁷ O motywie róży w twórczości Słowackiego – stosując instrumentarium psychoanalityczne – pisał S. Baley, *Psychoanaliza jednej pomyłki Słowackiego*, „Pamiętnik Literacki” 1924/1925.

przecucie jakby nieszczęścia. Ile razy zdołam odpędzić od siebie te natrętne trzy mary, wtenczas spokojny jestem i z zamkniętymi oczyma pozwalam płynąć czasowi” [s. 193]. Myśl o matce szarpie smutkiem. Marzenie: zasnąć jak żuk w głębi kwiatu, zatem do matki wrócić, jak już się nigdy wrócić nie zdoła, ale to może się zdarzyć tylko wtedy, gdy autor myśli tej się pozbędzie.

Rozziew między biegunami dwóch rodzajów genewskiej ciszy zapełnia genewski gwar: tańce, flirty z pannami, przedstawienia teatralne. Od tej strony listowa Genewa przypomina często Krzemieniec i Wilno. O podobieństwo to zresztą Słowacki wyraźnie zabiega. Wracają do niego dawniej wyuczone figury taneczne, domowe potrawy, gry karciane, szarady. Przejmuje od matki zwyczaj krążenia po pokoju. W wielu nowo poznanych osobach odnajduje rysy dawnych znajomych: jakaś stara dama podobna jest do pani Lebrun, panna Eliza – do Kaźmiry Niepokólczyckiej.

W pensjonacie pani Pattey traktują samotnego emigranta jak domownika; Eglantyna, córka właścicielki, okazuje mu siostrzane przywiązanie. Listowa Genewa o rysach wileńskich i krzemienieckich nie przerazi adresatki obcością. Julek natomiast w tej oswojonej Genewie ledwie przypomina dawnego bajronistę: animuje towarzystwo, magnetycznie przyciąga do siebie panienki, zawiaduje pieczeniem bab wielkanocnych, gra na fortepianie do tańca. Wzbudza sympatię, przyciąga spojrzenia. W szanowanych domach przyjmują go „ze znaczną atencją i rozróżniają od innych” [s. 121]. Uchodzi za dobrego aktora. Genewscy znajomi wyprawiają się do Société de Lecture, by o nim przeczytać we francuskim piśmie. Ten Julek genewski wreszcie spełnia dawne życzenia matki co do jego osoby.

Gwar genewski – podobnie jak cisza – miał też swoją drugą odmianę. Latem pensjonat tracił nieco ze swojej domowej atmosfery, napełniał się wojażerami, głównie z Anglii. „W domie, w którym mieszka, uwijają się różne cienie jak w czarnoksiężskiej latarni... naprzód z jaskółkami przyleciał młody Anglo-Szkot, niezmiernie cichy i nabożny, młody i dziecinny. Kupił zaraz siatkę na motyle i cały ranek uwijał się z nią po ogromnej łące. Jak mi to boleśnie przypominało moje dzieciństwo – Mickuny – Wilenkę – lasy sosnowe – i jeszcze coś... To dziwne, że już teraz nie mogę łowić motylów! – Anglik ten po 2 tygodniach pobytu z nami pojechał do Lousanny” [s. 137]. Mimowolna konfrontacja z przelotnym Anglo-Szkotem nie dała Słowackiemu satysfakcji. Przy tamtym, dziecinnym, wydał się sobie stary, samotny, pozbawiony na zawsze Mickunów i motyli. Motylowi – trzeciemu z pochwyconych dotąd, obok żuka i pszczoły, reprezentantowi świata owadziego w listach genewskich – warto byłoby się przyjrzeć. Słowacki-poeta miał bowiem do motyli skłonność. W genewskim *Kordianie* kazał tytułowemu bohaterowi zobaczyć siebie w motylej postaci: „[...] na koralowych ustach zawieszony / Jako motyl na róży”⁸.

⁸ J. Słowacki, *Dzieła*, *op. cit.*, t. 6, s. 210.

Innym razem na pensjonat pani Pattey „zwała się jak lawina ogromna familia rosyjska” [s. 138]. Kiedy indziej sporządził Słowacki na potrzeby listu „katalog osób” grających wraz z nim „tragikomedią życia” [s. 147]. Angielcy i Angielki, których z początku ciekawie wyglądał, okazali się nie do wyobrażenia monotoni: „Jest trzech Anglików w naszym domu, żaden z nich nawet jednej myśli w głowie nie ma. [...] Angielki także nie takie, jak je sobie wystawiałem – wcale nie sentymentalne” [s. 156]. Wreszcie zbrzydźwiwszy sobie do cna katalogi i portrety konkludował gorzko: „Wszystkie te chwilowe znajomości podobne są do widm we śnie widzianych – zaledwo myśl zatrzymuje pamięć ich rysów. A ja zaś dla nich muszę być podobny do kamiennego słupa na drodze, przy którym zatrzymują się, starają się wyczytać niezrozumiany często napis – ruszają w dalszą drogę” [s. 176]. Wszyscy ci mężczyźni, wszystkie te kobiety i dzieci, ze swoją nieraz hałaśliwą, irytującą obecnością zostają przypisani do sfery pozorów. Zapęniają szczerze genewską terażniejszość Słowackiego, ale niczego po sobie w nim nie zostawiają. Tyle ich widmowego istnienia, co w liście-lustrze. Takie przelotne, nieważne znajomości nic Słowackiemu nie dają. Nie dość na tym, bo niczego nie dając, zmieniają mu jego samotność wybraną, sobie samemu stworzoną i twórczą, pełną wspomnień i marzeń, w samotność-porzucenie, w samotność wbitego w ziemię, niemego słupa. Tamta samotność zbliżała go do matki, ta – nawet i od niej oddalała.

O słupie w analogicznej funkcji można przeczytać znowu w liście relacyjnym pożegnanie Słowackiego z Eglantyną przed jej wyjazdem do Paryża: „Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia – każda chwila smutku teraz jest jakoby zwierciadłem, w którym całe moje smutne życie widzę w zmieszanych kolorach... Zaszedł wreszcie powóz – wsiadła do niego – a ja zostałem sam jeden – jak słupek na zielonej murawie – patrząc na ozłocone niebo... W kilka chwil potem weszło słońce – naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi – i wahały się, przelewały się, aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. Smutno – smutno...” [s. 189]. Tym razem zieleń – dawniej zieleń żuka – jest zielenią murawy. Obraz „słupa na zielonej murawie” nie zaleca się urodą. Słupek swoją obecnością zieleń murawy psuje, a nie uwydatnia. Jest jej obcy, narzucony – i porzucony.

Eglantyna wyjeżdża; Słowacki zostaje. Wschodzi słońce. Dramatyczne narodziny słońca, pilnie w swoich kolejnych stadiach obserwowane, nie służą tu za metaforę stanu wewnętrznego autora listu. Słońce rodzi się na niebie, ale nie w nim. W nim nie dzieje się nic nowego. Oczy patrzą na cud narodzin, lecz wewnątrz obserwatora trwa ten sam co przedtem smutek, smutek chwili pożegnania z Eglantyną i w chwili tej odbity jak w zwierciadle smutek całego – a więc przeszłego i przyszłego – życia. Cóż stąd, że narodziło się słońce? W świetle dnia czy w mroku słupek pozostaje słupem.

W Genewie o rysach krzemienieckich syn Salomei tańczy, konwersuje, gra na fortepianie, w karty i w spektaklu amatorskim, maluje, wyrzywa płatki marge-

ritkom. Jego aktywność przenosi się na innych – innych wprawia w ruch. Inaczej rzecz się ma z Genewą przelotnych wojażerów. Wówczas autor listów tkwi nie-ruchomo poza sferą ruchu i zmiany. Wszyscy inni przyjeżdżają, wyjeżdżają, on – wbrew sobie – zostaje. Dwie postacie genewskiego gwaru, dwa oblicza ciszy wyznaczają granice genewskiego między.

Listy z Genewy, raz bliskiej, kiedy indziej odstręczającej, pisze Słowacki-syn i Słowacki-poeta. Pisząc do matki, świadomie i nieświadomie próbuje ją pogodzić z faktem, że rodząc syna, urodziła poetę. Róża urodziła zielonego żuka. Syn-poeta nie jest synem po prostu. Niepokoi matkę obcością, ale w głębi łączy go z nią więź szczególna. Syn-poeta bowiem opuszcza łono matki, a potem wbrew ludzkiej naturze do niego wraca, ile razy poczyna się w nim nowe dzieło. W listach genewskich Słowacki nie mówi inaczej o swojej twórczości jak o rodzeniu właśnie, a o utworach – jak o dzieciach: „Otóż wytańcowawszy się na tym wieczorze wróciłem do domu i jak na nieszczęście, ponieważ to zwykła pora roku (jesień), w której mię napada poetyczna kanikuła już od czterech lat bez wyjątku – ponieważ w tej porze rodzę zwykle, nazajutrz po wieczorze przyszła mi do głowy myśl jakaś. [...] Jakoż we dni kilkanaście napisałem tragedią [...]. Tymczasem niech *Mazepa* leży w tece – a jeżeliby mię wicher zmiotł ze świata, nim go wydam, to proszę Was i zaklinam, abyście się o ten płód (w żywocie matki) u pani Pattey dopomnieli i wydali na świat. Nie zapomnijcie...” [s. 213]

Poeta jest więc matką swego dzieła. Komu przypada rola ojca? Badacze literatury wskazują na Byrona, Szekspira, Mickiewicza, Calderona... O nazwiska nietrudno, bo ojcowie trwają w żywej pamięci dzieła. Z ojcami dzieło wdaje się w polemikę, akceptuje ich albo odrzuca. Relację utworu z ojcem, z ojcami, można ogarnąć. Udział poety-matki w narodzinach dzieła jest oczywisty, nie-podważalny, ale nie do opisania. Dlatego, że najpierw dzieje się w mrokach łona matki, a potem dopiero w głowie, przed oczami. I jest tożsame z poetą, póki jest w nim, póki go nie widać. Dzieło wydane na świat – oglądane z zewnątrz – różni się od matki tak jak róża różni się od żuka.

Czytając listy Słowackiego, trzeba zdać sobie sprawę z różnicy między listem a dziełem. *Kordiany*, *Balladyny*, *Mazepy* były mu dziećmi, a listy – lustrami. W dziełach Słowacki nie patrzy na siebie, lecz w siebie, do wnętrza głowy, serca, brzucha. W listach, żeby matki sobą nie przerazić, patrzy tylko w lustro.